

665

LIST Z TEATRU

CZY IWONA MA ROZUM

MODA na Gombrowicza w polskim teatrze trwa i jest o tyle uzasadniona, że twórca ten bez wątplenia należy do najciekawszych naszych dramaturgów, i że do tej pory pełnej satysfakcji nie otrzymał. Poddawałem na tych łamach w wątpliwość wybór do realizacji w Olsztynie „Iwony księżniczki Burgunda”, którą ostatnio wystawił Teatr im Stefana Jaracza*. Zastrzeżenie moje wynikało z faktu, że w ramach mody na Gombrowicza szczególnie modna stała się ostatnio właśnie „Iwona”, sztuka dramatycznie i literacko słabsza od „Siubu” i „Operetki”. Okazało się wszakże, że „Iwona” może być pozycją arcyinteresującą, pod warunkiem inteligentnej wykładni tekstu, a przede wszystkim licznych podtekstów. Henryk Baranowski, który podjął się reżyserii „Iwony”, jest twórcą od początku do końca konsekwentnym i w odróżnieniu od swych zaliczanych do reżyserskiej krajówki młodych kolegów, spektakle poddaje żelaznej dyscyplinie logicznej. Zarówno w „Zamku” jak i w „Iwonie” nie ma problemów niejasnych, nie rozwiązanych przez reżysera. Ta metoda na teatr odpowiada mi najbardziej i głośno ją sławie.

W konkurencji z zaprezentowaną w ramach teatru TV „Iwoną” z Teatru w Opolu, spektakl olsztyński wznosił się na wyżyny sztuki interpretacji i aktorstwa. Schematyczne odczytanie „Iwony” przez Hussakowskiego zaledwie mieści się w poprawności. Była więc tamta „Iwona” w gruncie rzeczy płaską i mało ciekawą komedią. W propozycji Henryka Baranowskiego „Iwona” jest raczej tragifarsą, której wymowę świetnie podkreślają czysto komediowe sceny. Okazuje się, że w prześmiewaniu obyczajów panujących na królewskich dworach można znaleźć wiele nowych elementów, że dworski obyczaj składania ukłonów bywa mniej śmieszny od defilady, że obwieszony medalami i przez to śmieszny król może być jeszcze śmieszniejszy, o ile do podkoszulki ma również przyczepiony medal (a ileż przy tym możliwości do spekulowania na temat co też król ma na nagiej pierś, o ile nie jest to kolejny medal). Mnożone w nierównodopodobny sposób pomysły, i te wzrost z Gombrowicza i te interpretujące jego myśli, należałoby właściwie spisać w całości, scena po scenie; tak wiele są warte. Szkoda doprawdy, że szczupłe ramy teatralnego felietonu nie pozwalają na bardziej szczegółową analizę. Z drugiej jednak strony nie ma co narzekać, ponieważ moja analiza mogłaby nie odpowiadać innym teatromanom i przez to mogłaby przynieść więcej szkody niż pożytku. „Iwonę” pro prostu koniecznie trzeba zobaczyć i tyle.

Poddanie „Iwony” zasadom logiki wbrew oczekiwaniom wydobyciu na światło dzienne setki podtekstów, których istnienia Witold Gombrowicz mógł nawet nie podejrzewać. Jest to zresztą cecha każdego wielkiego pisarstwa i dzięki niej właśnie niektóre dzieła żyją wielokrotnie dłużej (nie tylko z dokumentarnych powodów) niżli ich autorzy. „Iwona” w reżyserii Henryka Baranowskiego ma swoją specyficzną atmosferę, która odbiera się tak jak każde wrażenie, i której precyzyjnie opisać nie można.

Znakomitym partnerem scenicznej akcji była ascetyczna scenografia Krystyny Kamler wyróżniająca się nuda sceną z umieszczonym w głębi wielkim, wielofunkcyjnym nośnikiem. Tak właśnie trzeba w „Iwonie” logicznie. Ow charakter scenografii utrzymuje się nawet wówczas, gdy na wyciągach zjeżdżają na

scenę metalowe siatki z łóżek przyozdobione różnymi fragmentami garderoby. Ma także swoje znaczenie odcień czerwieni, którą te ostatnie elementy dekoracji są pokryte. Ma także swoje znaczenie ogromna złota korona umieszczona centralnie na czerwonej poduszce. Komandoskie stroje wartowników korespondują ze zmianą warty, logicznie nielogiczną i przez to trafną.

Ubożne znaczenie ma ekspozycja seksu na scenie, bodajże we wszystkich istniejących odmianach, chociaż niezależnie od tej krytycznej przecież uwagi warto sobie od czasu do czasu uświadomić i takje prawdy o życiu (seksapyl).

Aktorzy są świetni, nawet ci, którzy zwykle wypadają słabiej. Cieszę się ogromnie, że tym samym potwierdza się moja stara teza o znaczeniu pracy reżysera z aktorem i o umiejętności wydobycia tylko tych elementów z warsztatowego bogactwa, które w konkretnej sztuce są potrzebne. Cudowną rolę Króla Ignacego zagrał Henryk Dłużyński, nie ma w niej ani jednego słabego punktu, ani jednej niekonsekwencji. Tym większa szkoda, że nie w pełni dotrzymywała mu kroku Małgorzata Jakubiec w roli Królowej Małgorzaty. Jedną ze swych lepszych kreacji stworzył Roman Michalski jako raz demoniczny, raz zakłopotany (ba, ba), raz śmieszny i rozbawiony Szambelan. Iwone, która ma swój rozum, choć niechętnie z niego korzysta, zagrała dobrze Małgorzata Peczyńska. Rozwiązała Iza, chciałoby się rzec słodką i tajemniczą, była Teresa Czarnańska-Kostecka. Wojciech Kostecki jako arystokratyczny Cyryl sekundował wiernie zwariowanym i więcej niż normalnym przedsiębiorczemu Księciu Filipa. Tę ostatnią postać zagrał z istic hamletowskim zacięciem Jan Peczek.

Wreszcie nestorka olsztyńskiej sceny Eugenia Snieżko-Szafnagłowa, ciągle zadziwiająco sprawna i świetna aktorsko wystąpiła jako Ciotka I pospół z Witoldą Czerniawską jako Ciotka II (czyżby od „Non Stopu” obie aktorki miały zawsze występować w duecie?). Podobnie jeden z najwybitniejszych aktorów olsztyńskiem sceny Roman Szmara ozdobił kunsztownym aktorstwem rolę Biskupa.

Come back Stanisława Brodackiego, który przed laty zdradził Olsztyn dla Warszawy, wypadł, jak na śniewiącego artystę przystało, okazale. Stanisław Brodacki śpiewał fragmenty z „Halki” w partiach solowych, a także w duecie z występującym w kobiecym przebraniu Andrzejem Skubiszem.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na ciekawą rolę Grzegorza Potockiego, którego możliwości aktorskie a także timbre głosu predysponowały wzrost idealnie do roli Innocentego, zarówno w pokornej jak i w zbuntowanej części.

Ceremoniom dworskim zadawali szwku w rolach Tam Wanda Paierówna, Hanna Wolicka-Jeżewska, Barbara Barwężwska i Flżbieta Kmiecńska, a także w rolach Panów Tadeusz Krasnodebski, Wiesław Krupa i Julian Zagwojski. Znakomitymi, wywołującymi wielką wesołość Walentyni byli Witold Gałazka, Roch Siemianowski, Zbigniew Kaczmarek i Konrad Łukasiewicz. Obowiązki Wielkiego Sedziego sprawował Stefan Kacol, zaś Marszałka Antoni Chetko.

Niezwykle ważna, integrująca a często nawet inspirowa rolę wznaczył Henryk Baranowski muzyce. Jej autor Jerzy Safanowski nie no raz nierwszy stworzył muzyczną ilustrację na miarę spektaklu, a więc współuczestnicząca na zasadzie partnerstwa z innymi elementami przedstawienia. Autentyczna orkiestra PKP otwierająca każdy pochód, również defilade, była tak potrzebna, że teraz trudno byłoby wyobrazić sobie bez niej spektakl.

W scenie końcowej kiedy podczas uczty Iwona umiera no udławieniu się oscią karasia, zastosował Henryk Baranowski rozwiązanie zrozumiałe i słuszne. Oto dwór przgląda się z honorowej trybuny wojer konsumpcji, notem zadławieniu, a w efekcie śmierci Iwony. Jest to scena z tej sztuki. Mocna pójnta kończy wywód Gombrowicza. Finis.

Bohdan DZITKO

* Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie, Witold Gombrowicz „Iwona, księżniczka Burgunda”, reżyseria Henryk Baranowski, scenografia Krystyna Kamler, muzyka Jerzy Safanowski, premiera w grudniu 1976 r.